



KARDYNAŁ ROBERT SARAH

NICOLAS DIAT

BÓG

ALBO NIC

rozmowa o wierze

KARDYNAŁ ROBERT SARAH
NICOLAS DIAT

BÓG

ALBO NIC

rozmowa o wierze

Przełożyła
Agnieszka Kuryś



Wydawnictwo Sióstr Loretanek
Warszawa

© Librairie Arthème Fayard, 2015
© for the Polish Edition by Wydawnictwo Sióstr Loretanek,
Warszawa 2016

Tytuł oryginału
Dieu ou rien. Entretien sur la foi
du Cardinal Robert Sarah avec Nicolas Diat

Redakcja
Maria Rytel

Opracowanie graficzne i łamanie
s. Karolina Masztalerz CSL

ISBN 978-83-7257-791-7 (książka)
ISBN 978-83-8212-107-0 (e-book)

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
ul. L. Żeligowskiego 16/20; 04-476 Warszawa
tel. 22 673 46 93; 22 673 58 39; fax 22 612 93 62
www.sklep.loretanki.pl; sklep@loretanki.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Loretańska, Warszawa-Rembertów

Spis treści

Przedmowa do wydania polskiego
7

Wprowadzenie
9

Znaki od Boga w życiu dziecka Afryki
13

Gwiazda Trzech Króli
36

Od Piusa XII do Franciszka. Papież jednego życia
65

W poszukiwaniu Kościoła
81

Kamienie węgielne i fałszywe wartości
123

Pytania stawiane przez świat postmodernistyczny
134

Aby być w prawdzie
159

Tajemnica nieprawości i wielkie zwątpienia
172

„Ewangelii gaudium”, radość Ewangelii według papieża Franciszka
186

Bóg nie mówi dźwiękiem, ale przemawia do duszy
204

*Księdzu biskupowi Louisowi Barry,
wielkiemu dzięki swojej odwadze*

*Bratu Vincentowi
i tym wszystkim, którzy bez wytchnienia
pełnią dyżury przy jego łóżku*

Dla Boga nie ma bowiem nic niemożliwego.

Łk 1, 37

...byście (...) mieli jednego ducha
i jedno serce skierowane ku Bogu.

Święty Augustyn, Reguła

Ponieważ człowiek świata chce zmieniać swoje miejsce,
przeznaczenie, swoich idoli, i zmieniać je nieustannie,
przyjaciel Boga musi trwać i pozostawać na miejscu,
na którym postawił go Bóg. Między przyjaciółmi Boga
a światem istnieje bowiem antyteza i zerwanie.
Jeden wybiera to, co drugi odpycha. W innym razie
już nie byłoby dwóch obozów, lecz jeden – świat.

Ojciec Jérôme, *Ecrits monastiques*

Przedmowa do wydania polskiego

Niezwykła książka i niezwykły autor. Wiele publikuje się ostatnio książek-wywiadów o charakterze biograficznym i refleksyjnym. Rozmówcami dziennikarzy są na ogół znane postaci z życia Kościoła lub działające w kręgach szeroko pojętej kultury czy publicznej aktywności. Najczęściej są to pozycje pisane z perspektywy ludzi żyjących w Polsce lub w Europie, dużo rzadziej spoglądających na rzeczywistość z bardziej odległych punktów widzenia.

Autorem nowej publikacji jest ktoś, kto doznał w życiu ogromnych paradoksów i zdumiewających kontrastów. Biedne afrykańskie dziecko z gwinejskiej wioski Ourous dziś jest Kardynałem Kościoła katolickiego i Prefektem Kongregacji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, odpowiedzialnej za liturgię Kościoła powszechnego. Jako arcybiskup Konakry, stolicy Gwinei, Robert Sarah cieszył się wielkim szacunkiem i uznaniem w krajach Afryki Zachodniej. I oto ten, który był kiedyś najmłodszym biskupem na świecie (mianowany w wieku 33 lat), został dostrzeżony przez Ojca Świętego Jana Pawła II. Wezwany do Kurii Rzymskiej, został w 2001 roku Sekretarzem Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów. Ojciec Święty Benedykt XVI mianował go Przewodniczącym Papieskiej Rady *Cor Unum*, powierzając mu troskę Kościoła o ubogich i potrzebujących.

Jego bogaty życiorys stanowi osnowę prezentowanej, tak bardzo wielowątkowej książki *Bóg albo nic*, przetłumaczonej z francuskiego już na dwanaście języków, w wyjątkowo dużych nakładach. Nie bez przyczyny jest ona tak popularna. Zawiera bowiem, na kanwie życiowych doświadczeń Autora, niezwykle bogate przemyślenia o szerokim spektrum.

Jednym z obszarów jest fenomen Kościoła w jego istocie i przejawach, Kościoła wiary i Kościoła wiedzy, przekonań i opisów. Ksiądz Kardynał Kościół kocha; jest on jego ojczyzną i środowiskiem życia, pozostając zawsze tajemnicą, nigdy do końca nie odkrytą. Kościół jest jego pasją.

Innym obszarem analizy i wniosków, mądrościowego spojrzenia, jest dzisiejsza, ciągle zmieniająca się epoka. Czasy, które stawiają coraz więcej pytań, a przynoszą coraz mniej odpowiedzi. Czasy poszukiwań sensu i celu w wielkim zagubieniu i dezorientacji. Ale prawdziwa mądrość potrafi zauważyć i wydobyć podskórne prądy, które okażą się decydujące dla losów ludzi i świata.

Refleksja Roberta Saraha dojrzewała długo, poprzez pracowite poszukiwania i docieranie do pewnych źródeł. Z wykształcenia jest przecież biblistą, absolwentem słynnego i jakże wymagającego Papieskiego Instytutu Biblijnego w Rzymie. Wystarczy zapoznać się z jego wcześniejszą publikacją „W drodze do Niniwy”, poświęconą okresowi liturgicznemu Wielkiego Postu*. Jest to ogromne bogactwo myśli biblijnej, Ojców Kościoła i autorów współczesnych. Innym źródłem jest napisany jeszcze w Afryce zbiór refleksji pt. „Kultura, demokracja i rozwój w świetle *Centesimus Annus*”*. Jego przenikliwość spojrzenia, w połączeniu z ogromną pracowitością, czerpie z modlitwy i kontemplacji.

Czuję się zaszczycony, że mogę z nim współpracować od dwudziestu już lat i budować się dorobkiem jego życia. Ksiądz Kardynał jest znakomitym przewodnikiem po wielkich problemach współczesności. Wyjaśnia je nie tylko w ich skutkach, lecz także pokazuje głębokie przyczyny. Świat oderwany od Boga popada w dekadencję i ruinę, co dostrzegł z wielką przenikliwością Sobór Watykański II. W tym samym duchu nasz Autor ukazuje perspektywę nadziei i je uzasadnia. Jest to książka budująca, przywracająca nam radość życia, płynącą z radości Ewangelii.

Czytelnikom życzę, by po tej lekturze stali się bardziej autentycznymi świadkami odwiecznej Światłości.

† *Henryk Hoser SAC*
Biskup Warszawsko-Praski

Wprowadzenie

„Boga można znaleźć na lichych drogach”.

Ojciec Jérôme, *Car toujours dure longtemps...*

Zdarzają się spotkania radykalne, które częściowo zmieniają nasze spojrzenie. Spotkanie z kardynałem Robertem Sarahem jest dogłębnie radykalne. Nie ma w nim jakiegoś „przedtem” i „potem”. Jest niezbita pewność, że mam do czynienia z mężem Bożym.

Ojciec Jérôme, mnich z Zakonu Cystersów Ścisłej Obserwacji, z opactwa Notre-Dame de Sept-Fons, pisał w książce *L'Art d'être disciple* („Sztuka bycia uczniem”): „Nie proś swojego mistrza, by mówił, żeby nic nie powiedzieć. Stawiaj mu pytania o problemy ludzkiego przeznaczenia i o problemy z nimi związane, o problemy stale aktualne. Jak on sam je przeżywa? Co robi, żeby je akceptować z odwagą i spokojem? Zapytaj go o to, co zna z pewnością, co już nie jest dla niego pytaniem, co uznaje za niepodlegające dyskusji i niezmiennie. Skłoń go do mówienia o dramacie jego prawdziwej osobowości, a nie o sztucznej komedii, jaką być może narzucają mu okoliczności. Skłoń go do mówienia o jego niezaspokojeniu i nadziejach, o jego wierze religijnej, zaufaniu do Boga, o modlitwie. Zapytaj go, w jaki sposób i jak dalece, przez dar z samego siebie, wyzwolił się od siebie samego. Dowiedz się, skąd bierze się przejrzystość jego decyzji odmownych. Niech ci się zwierzy z tego, co odkrywa w swoim milczeniu. Niech ci powie, gdzie jest źródło jego łez i powód jego uśmiechu. Idź do samego sedna tego człowieka. A jeśli, żeby ci pomóc, zgodzi się sięgnąć do swoich szkolnych zeszytów czy do swoich narzędzi czeladnika, podziękuj mu swoją uległością”.

Przez długie miesiące rozmów z kardynałem Robertem Sarahem starałem się wprowadzać w życie proste i wymagające zalecenia ojca Jérôme’a. Ten święty trapista kierował swoje słowa do nowicjusza, żeby go zachęcić do coraz lepszego rozumienia rad i zachęt swojego mistrza.

Kardynał Robert Sarah to niezwykle mistrz życia duchowego. Człowiek wielki przez swoją pokorę, łagodny i stanowczy przewodnik, ksiądz nigdy nie znużony mówieniem o Bogu, którego kocha.

Kardynał Robert Sarah miał niezwykle życie, nawet jeśli jest szczerze przekonany o tym, że w gruncie rzeczy ma dość banalny życiorys.

Kardynał Robert Sarah jest czeladnikiem Boga, człowiekiem miłosierdzia i przebaczenia, człowiekiem milczenia. Jest dobrym człowiekiem.

Kiedy przebiegam myślą długie godziny spędzone razem na pracy nad niniejszą książką, wciąż wracam do pierwszych chwil, gdy opowiadał mi o swoim dzieciństwie w najbardziej zapadłym kącie Gwinei, w głębokim stepie, na końcu świata, o wiosce Ourous,

o pólcieniu w kościele, o misjonarzach, o swoich rodzicach i swoim plemieniu, Koniagi.

Jestem pewien, że Bóg ogarnął kardynała szczególnym spojrzeniem. Myślę też, że ma ogromne oczekiwania. Ale Bóg może być spokojny, gdyż kardynał kocha Go w najpiękniejszy sposób, w jaki człowiek może kochać swojego Ojca.

W niniejszej książce nowy prefekt Kongregacji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów wiele mówi o Benedykcie XVI. Z podziwem, wdzięcznością i radością.

Papieżem, który stał się najbliższy kardynałowi Robertowi Sarahowi, jest jednak Paweł VI. Giovanniego Battistę Montiniego z dzieckiem Afryki łączy swoista, tajemnicza relacja. Ich dwie duchowości, ich dwie mistyki, ich dwie teologie dążą ku Bogu jednakowo – prosto i ascetycznie.

Tak, w ostatnich godzinach swoich rządów Paweł VI wy brał mało doświadczonego księdza na najmłodszego biskupa na świecie. Ten człowiek nazywał się ksiądz Sarah. Relacja między nimi jest jednak bardziej obszerna, bardziej sekret na, głębsza. Wiąż między Pawłem VI a kardynałem Sarahem istnieje w obszarze ducha dzieciństwa, uległości, radykalizmu, wymagania prawdy, niezależnie od tego, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić.

1 września 1976 roku na audiencji generalnej Paweł VI stwierdził: „Aby budować Kościół, trzeba zadać sobie trudu, trzeba cierpieć. Kościół musi być ludem silnych, ludem odważnych świadków, ludem, który umie cierpieć za swoją wiarę i za jej krzewienie na świecie, w milczeniu, bezinteresownie, i zawsze z miłości”. Dwa lata później Paweł VI odszedł z tego świata; tych kilka słów mógłby jednak wypowiedzieć na nowo kardynał Sarah, który nigdy nie zapomina, że „Kościół musi być silnym ludem”, gdyż w jego życiu nic nigdy nie było łatwe ani darmo dane. Człowiek, który przeszedł przez jedną z najkrwawszych dyktatur afrykańskich, bardziej niż ktokolwiek inny docenia wartość rozważania Pawła VI z 1963 roku, kiedy Następca Piotra zaczynał swoją drogę: „Czy Bóg przemawia do duszy targanej niepokojem, czy do duszy pełnej pokoju? Doskonale wiemy, że aby wsłuchać się w ten głos, musi zapanować nieco ciszy, spokoju. Musimy zachowywać dystans wobec wszelkiej groźnej ekscytacji czy nerwowości, być sobą. Oto podstawowy element: w naszym wnętrzu! A zatem spotkanie odbywa się nie na zewnątrz, ale w naszym wnętrzu”.

Gdyby trzeba było zachować w pamięci tylko jeden fragment tej książki, niewątpliwie byłoby to zwierzenie kardynała na temat chwili, gdy w obliczu wszelkich politycznych, gospodarczych i społecznych trudności Gwinei, wydawało mu się niemożliwe podjąć posługę biskupią. Robert Sarah pojechał wtedy do pustelni, daleko od wrzawy i okrucieństw, żeby być sam na sam z Bogiem, przez wiele dni poszcząc bez jedzenia ani wody, za jedyne towarzystwo mając Eucharystię i Biblię. Jest tutaj cała osobowość dziecka Ourous, prowadzonego przez misjonarzy duchaczy. I nigdzie indziej. Jego przesłanie prawdziwie jest przesłaniem Pawła VI, który w 1970 roku nie bał się powiedzieć: „Trzeba, by każdy nauczył się modlić również w swoim wnętrzu, i z siebie. Chrześcijanin musi nauczyć się modlitwy osobistej. Każda dusza jest świątynią. A kiedy wchodzimy do tej świątyni naszego sumienia, żeby tam adorować Boga, który jest tam obecny? Czyżbyśmy byli duszami pustymi, chociaż chrześcijańskimi, duszami nieobecnymi w sobie, zapominając o tajem-

niczym i niewyraźnym spotkaniu, o synowskiej i upajającej rozmowie, jaką Bóg, jeden Bóg w trzech Osobach, raczy nam ofiarować we wnętrzu nas samych?”.

W życiu kardynała Saraha było wiele niezwykłych wydarzeń. Niezwykle były zwłaszcza korzenie jego powołania do kapłaństwa. W jego animistycznym środowisku nic go nie predysponowało do opuszczenia wioski, żeby w wieku jedenastu lat wstąpić do niższego seminarium. Dzień, w którym opuścił rodziców, z małym tobołkiem jako jedynym dobytkiem, okazał się początkiem długiej i burzliwej przeprawy, jak gdyby jakieś mroczne siły próbowały na wszelkie sposoby udaremnić nastolatкови zostanie księdzem: bieda, oddalenie od rodziny, marksistowska dyktatura, prześladowania wojskowe, burza tocząca się w Kościele, nieprzychylnie wiatry ideologii... Ten człowiek jednak wytrwał, gdyż myślał, że Bóg zawsze przy nim będzie.

Wie on, tak jak mnisi, że monotonia i powtarzalność mijających dni jest także ukrytym bodźcem autentycznego spotkania z Bogiem. Dalszy ciąg jego życia jakże dobitnie mu dowiódł, że Bóg zawsze czeka na niego gdzieś dalej...

Robert Sarah wyszedł z religii pierwotnej i osiągnął szczyty chrześcijaństwa.

Dziś pozostaje zupełnie taki sam: pokorny, czujny i zdeterminowany. Jan Paweł II mawiał często, że nie należy oszczędzać sił na tej ziemi, bo na odpoczynek będziemy mieli całą wieczność. Robert Sarah również uważa, że jego praca zakończy się dopiero z chwilą jego śmierci. Na ziemi jest po to, żeby służyć Bogu i pomagać ludziom.

W 2010 roku Benedykt XVI powierzył mu Papieską Radę *Cor Unum*, której zadaniem jest koordynowanie dobroczynnej działalności papieża. Podjął tę decyzję z przekonaniem, że człowiek ten, pochodzący z małego i kruchego państewka, lepiej niż ktokolwiek rozumie życie ubogich. Emerytowany papież miał rację! Robert Sarah nie odkrył bowiem nędzy w ksiązkach, na mieszczańskich salonach złaknionych czystego sumienia czy w rozgorączkowanych amfiteatrach, żadnych zmienić świat siłą nieuporządkowanej woli wielu rozdętych „ego”... Urodził się w biednej rodzinie, która nie posiadała nic, naukę mógł kontynuować dzięki pomocy francuskich misjonarzy, którzy dali mu wszystko.

Myśl kardynała wydaje się niekiedy chropowata i nazbyt wymagająca. Niewątpliwie kryje się w tym wielka tajemnica: być tak radykalnym, żeby ostatecznie pokazać tylko drogę złotego środka. Robert Sarah w każdej rzeczy rozwija łagodny i anielski upór.

„Pociesz się, nie szukałbyś Mnie, gdybyś już Mnie nie znalazł”, pisał Pascal w *Myślach*¹.

Wola kardynała nigdy nie zwróciła się w inną stronę niż ku Bogu. Stałym pragnieniem Roberta Saraha jest bowiem dochodzenie do Boga w modlitwie. Wierzy on w cnotę modlitwy. Łatwo to powiedzieć, ale dla tego człowieka jest to bicie serca przez całe życie. Co więcej, jako syn nieustraszonych misjonarzy uważa, że modlitwa wewnętrzna jest tylko cudowną transpozycją aktów przyjaźni. Razem z Pawłem VI może powiedzieć słowa wypowiedziane przez niego podczas podróży na Filipiny: „Jezus Chrystus nas uczy, że miłość do Boga jest nierozzerwalnie związana z miłością do bliźniego. Apostoł musi być

¹ Blaise Pascal, *Myśli*, tłum. Tadeusz Żeleński (Boy), IW Pax, Warszawa 1989, s. 389.

złakniony miłości coraz bardziej realnej i uniwersalnej. Jego miłość do braci, zwłaszcza do najsłabszych i najuboższych, będzie zakorzeniona w miłości, jaką Bóg żywi do wszystkich, a szczególnie «najmniejszych spośród swoich». Miłość do Boga nie jest ubezpieczeniem dla siebie: jest wymaganiem dzielenia”.

Z dala od ojczyzny, w Rzymie, serce Roberta Saraha zawsze pozostało przy jego afrykańskich braciach, przy tych wszystkich, którzy cierpią z powodu wojny, choroby, głodu. Jesienią 2014 roku, kiedy papież Franciszek mianował go na nowe funkcje, kardynał był smutny. Inni cieszyliby się tak olśniewającym awansem, paradowaliby jak pawie z rozpostartymi ogonami... Robert Sarah o nic się nie ubiegał. O nic nie prosił. Pragnął tylko nadal służyć ubogim.

Robert Sarah samą swoją osobą dowodzi sukcesu, który nie jest spektakularny, ale dotyczy samego sedna. Pełna niuansów i dyskretna pobożność tego człowieka jest nacechowana prostotą, która nie ma wieku. Jego więź z Bogiem jest oczywista, gdyż karmi się całym życiem wierności, stałości, miłości i ufności. Sarah jest partyzantem, dawnym mistrzem w sztuce niezwracania na siebie uwagi, a przecież nosicielem nieopisanej siły.

Syn Claire i Alexandre’a Sarahów niekiedy przypomina mnicha, który wyruszy w wielką podróż, żeby dotrzeć do swojego Boga, do swojej miłości. Jest pełen pokoju, ufny, z odrobiną niepokoju, odrobiną cierpienia, szybko uciętymi rozżarzonym ostrzem jego wiary.

Przyjaciele Boga z pewnością zawsze są ukryci w Jego cieniu. Robert Sarah jest zadowolony u Boga, do którego domu zna wiele różnych wejść.

Nicolas Diat
Rzym, 25 stycznia 2015 roku

Znaki od Boga w życiu dziecka Afryki

„Co mnie zadziwia to nadzieja, mówi Bóg.
I nie mogę wyjść z podziwu.
Ta drobna nadzieja taka niepozorna.
Ta wątła dziewczynka nadzieja.
Nieśmiertelna”.

Charles Péguy, *Przedśionek tajemnicy drugiej cnoty*²

NICOLAS DIAT: *Pierwsze pytanie w naszej rozmowie dotyczy narodzin Księdza Kardynała w Ourous, w sercu Gwinei na wysokich płaskowyżach. Wcale niełatwo zrozumieć, jak to się stało, że dziecko z afrykańskiej wioski zostało kardynałem...*

KARDYNAŁ ROBERT SARAH: Ma Pan całkowitą rację! Patrząc na moje jakże skromne korzenie, trudno pojąć, czym stałem się dzisiaj.

Kiedy myślę o animistycznym środowisku, głęboko przywiązanim do swoich obyczajów, z którego wyciągnął mnie Pan, żeby uczynić ze mnie chrześcijanina, księdza, biskupa, kardynała i jednego z bliskich współpracowników papieża, ogarnia mnie wielkie wzruszenie.

Urodziłem się 15 czerwca 1945 roku w Ourous, jednej z najmniejszych wiosek w Gwinei, na północy kraju, przy granicy z Senegalem. Jest to region średniowysokich gór, oddalony od stolicy, Konakry; władze administracyjne i polityczne często go postrzegają jako mało znaczący.

Moja ziemia leży bowiem w odległości jakichś 500 kilometrów od Konakry. Dojazd do stolicy, po wyjątkowo ciężkich drogach, zajmuje cały dzień. W porze deszczowej czasem się zdarza, że samochody grzęzną w błocie. Podróż trzeba przerwać na długie godziny, bo tyle czasu wymaga wydobyć pojazd z błota, po to, żeby nieco dalej znowu utknął. Kiedy przyszedłem na świat, większość dróg była zaledwie ścieżkami.

Ourous to najcenniejszy okres mojego życia w Gwinei. Wzrastałem w tym miejscu odcięty od świata, chodziłem tam do szkoły, żeby uzyskać świadectwo ukończenia nauki w zakresie podstawowym. Przerabialiśmy ten sam program co mali Francuzi, więc nauczyłem się, że moimi przodkami byli Galowie...

² Tłum. Leon Zaręba, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2007, s. 37.

W tym czasie wielu animistów zostało już nawróconych na wiarę chrześcijańską przez ojców duchaczy, członków Zgromadzenia Ducha Świętego, założonego w XVIII wieku przez Claude'a Poullart des Places i zreformowanego w XIX wieku przez ojca Franciszka Libermanna. Misjonarze ci przybyli do naszego regionu, gdyż islam wciąż nie był tam rozpowszechniony; widzieli tam potencjalne tereny ewangelizacyjne. Na przykład w Konakry trud nawracania pozostawał niemal bezowocny, gdyż od dawna pozycję dominującą zajmują tam muzułmanie. Dzisiaj moja wioska jest niemal w całości chrześcijańska i liczy około tysiąca mieszkańców.

Przywódcy Ourous z początków XX wieku – misja powstała w 1912 roku – przyjęli duchaczy prawdziwie wielkodusznie. Dali im teren wielkości ponad czterdziestu hektarów, żeby ułatwić zakorzenienie kultu katolickiego. Uprawa tych ziem pozwalała misjonarzom zdobywać na miejscu niezbędne środki na pokrycie wszelkich kosztów misji i na utrzymywanie uczniów w internacie. Pół roku po przybyciu duchaczy jednego z nich niespodziewanie zabrała przedwczesna śmierć. Nie zapominajmy, że higiena była wówczas w powijkach. Szczególnie często zdarzały się przypadki malarii.

W takim kontekście ci ludzie Boga zgadzali się na wielkie ofiary i podejmowali wiele wyrzeczeń, bez słowa skargi, z niewyczerpaną wielkoduszością. Wieśniacy pomogli im zbudować sobie chaty. Potem, stopniowo, wspólnie zbudowali kościół. To miejsce kultu ozdobił ojciec Fautrard, którego do Ourous dopiero co przydzielił biskup Raymond Lero-uge, pierwszy wikariusz apostolski w Konakry.

Mój ojciec widział budowę misji i kościoła. Opowiadał mi, że razem z siedmioma innymi chłopakami, animistami jak on, został wyznaczony do przetransportowania do wioski dzwonu, który przewieziono statkiem do Konakry. Tę wyczerpującą podróż odbywali przez cały tydzień, regularnie się zmieniając.

Później mój ojciec, Alexandre, przyjął chrzest i ożenił się w tym samym dniu, 13 kwietnia 1947 roku, czyli dwa lata po moich narodzinach.

N. D.: Co przypomina życie plemienia Księdza Kardynała, Koniagi, tej małej grupy etnicznej z północy Gwinei?

KARD. R. S.: Koniagi stanowią lud złożony niemal wyłącznie z rolników i hodowców, którym udało się zachować swoje tradycje. Skąd pochodzą? Zdaniem niektórych badaczy od Koniagi wywodzą się Yola z Casamance, którzy podobno mają niemal identyczny język jak oni. Tymczasem, jak przekazuje ustna tradycja, Yola są synami Guelowar Bamany. Wzdłuż rzeki Geba, po przeciwnej stronie niż Bissau, żyją bowiem Yola lub Biagarowie, których terytorium rozciąga się aż do Koli i graniczy z terytorium Bassari. Zgodnie z ustną tradycją czarowników, w młodej dziewczynie z ludu Koniagi, o imieniu Guelowar Bamana, miałyby źródła dynastie Gabu czy Kaabu, które jakoby sięgają XIII wieku, oraz wszystkie ludy regionu Sine, czyli Senegalu, Gwinei-Bissau, Gambii i północno-zachodniej Gwinei-Konakry: „W owym czasie syn króla poślubił młodą dziewczynę,

w tajemniczy sposób znalezioną na stepie: wywodziła się ona od duchów i nie mówiła w żadnym z języków mande. Nauczono ją mówić i jeść tak jak to robią ludy Mande, na przykład Malinke. Z ich małżeństwa narodziły się cztery córki, które poślubiły odpowiednio królów: Dżimana, Pinda, Sama i Sine. Cesarzami Gabu mogą być tylko ich potomkowie płci męskiej, ale po kądzieli”.

Moi przodkowie byli zasadniczo animistami, wiernymi wielowiekowym rytuałom i świętom, które wciąż nadają rytm życiu animistów.

Kiedy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w okrągłych chatach zbudowanych z cegieł, złożonych z jednego pomieszczenia, pokrytych słomianymi matami, otoczonych „werandą”, na której na ogół spożywaliśmy posiłki. Zaraz obok mieliśmy jedną czy dwie małe chatki, w których składowaliśmy ryż, zboże fonio, orzechy ziemne, proso i zbiory. Mieliśmy pola i ryżowiska; płody ziemi żywiły rodziny, a naddatek sprzedawano na targowiskach. Było to życie proste, pozbawione wstrząsów, pokorne i ufne. Życie wspólnotowe, uwrażliwienie każdego na potrzeby innych, nabierały wielkiego znaczenia.

Aby pomagać sobie nawzajem w pracach polowych, wieśniacy organizowali się w piętnasto-, dwudziestoosobowe grupy. Przez cały okres upraw i zbiorów każda grupa w określone dni pracowała na polu jednego ze swoich członków, kolejno, zgodnie z jednogłośnie ustalonym kalendarzem. Kiedy cykl prac dobiegł końca, kiedy każdy przyjął na swoim polu swoją grupę, zaczynaliśmy od początku, aż do końca okresu upraw. Ta solidarność umożliwiawała każdemu, gdy przypadała jego kolej, uzyskanie skutecznej pomocy od jego grupy. Zdarzało się również, że jakaś rodzina zapraszała kilka dodatkowych osób z wioski do pomocy w pracach na roli. Przyjaciół, którzy przyjęli zaproszenie, częstowała wówczas piwem z prosa lub miodem pitnym i południowym posiłkiem.

N. D.: Czy mógłby Ksiądz Kardynał opisać nam dawne obrzędy religijne swoich przodków, a zwłaszcza ważny obrzęd przejścia do dorosłości?

KARD. R. S.: Lud Koniagi jest bardzo religijny, przywiązany do Boga, nazywanego *Ounou*. Może jednak nawiązywać z Nim kontakt jedynie za pośrednictwem przodków. Bóg moich dziadów jest Stwórcą wszechświata i wszystkiego, co istnieje. Jest Bytem najwyższym, niewysłowionym, niepojętym, niewidzialnym i niepojmowalnym. Jednakże jest w centrum naszego życia i przepaja całe nasze istnienie. Wśród Koniagi nierzadko można napotkać imiona teoforyczne, jak *Mpooun* („drugi z Boga”), *Taoun* („trzeci z Boga”), *Oounouted* („Bóg wie”) czy *Oounoubayerou* („czy jesteś Bogiem?”).

To, co najistotniejsze w życiu religijnym i obrzędowym, krystalizuje się wokół podwójnego systemu: obrzędów pogrzebowych z jednej strony i obrzędów inicjacyjnych z drugiej.

Obrzędy pogrzebowe polegają na składaniu darów ofiarnych, czyli na wylewaniu krwi zwierząt lub piwa z prosa. Ofiary te zostają rozlane na ziemię albo u stóp świętego drzewa, na ołtarzu lub na drewnianej steli wyobrażającej przodków. Mają na celu uśmie-

rzenie gniewu bóstw opiekuńczych, od danie chwały Bogu i uproszenie łask nadprzyrodzonych mocy. W rzeczywistości istnieją trzy obrzędy czy trzy typy ofiar. *Rhavanhë* przy pogrzebie to nieunikniona chwila, gdyż otwiera bramy wioski przodków przed zmarłymi w pewnym wieku; *rhavanhë* nie celebruje się dla tych, którzy zmarli w dzieciństwie czy w młodości, prawdopodobnie ze względu na ich niewinność, czyli niezdolność do popełnienia ciężkiego i rozmyślnego zła – po zgonie zostają oni ponownie przyjęci do wioski przodków bez potrzeby złożenia ofiary. Następnie istnieje *sadhëkha*, sprawowana jako ofiara dziękczynna za otrzymane dobrodziejstwa, na przykład z okazji narodzin albo dla uproszenia błogosławieństwa dla ważnych czynów. I wreszcie *tchëva* ma na celu wyjednanie kresu klęsk, takich jak susza czy inwazja chmar niszczycielskiej szarańczy, która pustoszy pola, pożera liście i owoce drzew. Jest to nocna procesja przez pola i wioskę, żeby uprosić Bożą ochronę dla upraw i robót. Obrzęd ten przypomina procesję w Dni Krzyżowe, praktykowaną w Kościele katolickim do Soboru Watykańskiego II, która dzisiaj jeszcze istnieje w różnych krajach, na przykład w Meksyku. Tę procesję odbywają kobiety pod przewodnictwem *loukoutha*, specjalnej maski na tę ceremonię; *loukoutha* to duch w ludzkim kształcie, odziany we włókna lub w liście, tak żeby go nie zobaczyły ani nie rozpoznały kobiety i dzieci, które nie przeszły inicjacji.

Natomiast ceremonia inicjacji młodzieńca rzeczywiście stanowi istotny moment w życiu ludu Koniagi. Poprzedza ją obrzęd obrzezania, rozumiany jako próba wytrzymałości fizycznej. Podczas obrzezania bowiem, przeprowadzanego bez znieczulenia na chłopcu mniej więcej dwunastoletnim, chłopiec ten powinien płakać, niezależnie od tego, jak wielkiego doznaje bólu. Operacja ta otwiera dwu- lub trzyletni okres przejściowy, mający przygotować chłopca do inicjacji; ma to na celu dokonanie radykalnej przemiany osoby, przeprowadzając ją od dzieciństwa do stanu dorosłości. Nastolatek staje się wówczas mężczyzną w pełni odpowiedzialnym za samego siebie i za społeczność.

Po folklorystycznych tańcach, które zaczynają się w sobotę po południu i trwają całą noc, młodzi zostają wyprowadzeni do lasu, a potem są tam przetrzymywani przez cały tydzień, żeby zaprawić się do cierpienia, nauczyć się wytrzymałości, wyrzeczenia na rzecz dobra wspólnego, sumiennego poszanowania przodków, starszych i kobiet. W rzeczywistości inicjacja jest czasem uczenia się obyczajów, tradycji i dobrych manier w społeczności. Młodzieniec poznaje również właściwości roślin, by umieć leczyć niektóre choroby.

Inicjacja mogłaby się wydawać czymś pozytywnym; w rzeczywistości jednak ten obrzęd jest oszustwem, udawaniem, które posługuje się kłamstwem, przemocą i strachem. Fizyczne próby czy upokorzenia nie prowadzą do prawdziwej przemiany ani do dobrowolnego przyswojenia sobie nauk, w których pożądane byłyby inteligencja, sumienie i serce. Podczas nich pielęgnowane jest służalcze podporządkowanie tradycjom, ze strachu, że jeśli człowiek nie zastosuje się do nakazów, to zostanie wyeliminowany. W czasie obrzędu inicjacji strażnicy obyczajów wmawiają kobietom, że młodzieniec umiera i odradza się do innego życia. Inicjowany zostaje zjedzony przez ducha opiekuńczego, *nhëmba*, po czym – zgodnie z animistycznymi wierzeniami – zostaje przywrócony społeczności z nowym du-

chem. Ceremonia powrotu do wioski jest wyjątkowo uroczysta, gdyż młodzieniec po raz pierwszy pokazuje się, udając, że fizycznie jest innym człowiekiem, posiadającym nowe moce wobec społeczności.

Inicjacja jest obrzędem przestarzałym, nie jest w stanie udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytania związane z naszym istnieniem ani pokazać, jak Gwinejczyk może w odpowiedni sposób wejść w świat pełen wyzwań.

W istocie kultura, która nie sprzyja zdolności do wzrastania, do otwierania się na inne realia społeczne, żeby spokojnie przyjąć swoją własną, wewnętrzną przemianę, zamyka się w sobie. A inicjacja czyni z nas niewolników naszego środowiska, zamkniętych w przeszłości i w strachu.

Misjonarze duchacze pozwolili mojemu ludowi zrozumieć, że tylko Jezus naprawdę nam umożliwia ponowne narodziny, „narodzenie się z wody i z Ducha”, jak mówi Chrystus Nikodemowi (por. J 3, 5).

Inicjacja zawsze była obrzędem tajnym, obejmującym wiedzę i praktyki zastrzeżone wyłącznie dla tych, którzy przeszli inicjację. Edukacja ezoteryczna, w tajnym kręgu poddanych inicjacji, może jedynie budzić wątpliwości co do swojej wartości, spójności i zdolności do rzeczywistej przemiany człowieka. Kościół zawsze się przeciwstawiał tego rodzaju gnozie. Sprawa większej wagi: przy inicjacji dziewcząt należy zakazać pewnych praktyk. Obrzęd ten bowiem poważnie narusza godność kobiety: inicjacja w perwersyjny sposób sprowadza się do naruszenia jej najbardziej intymnej integralności.

Mnie zaprowadził do lasu mój wuj, Samuel Mpouna Coline, który jeszcze żyje. Tata zgodził się bowiem na poddanie mnie inicjacji, pod warunkiem, że ceremonia będzie krótka. Ponieważ byłem seminarzystą, było nie do pomyślenia, żebym przez cały tydzień nie uczestniczył we Mszy. Już wtedy dla taty i dla mnie Msza stanowiła jedyny moment, który przemienia człowieka na tej ziemi. Moja inicjacja trwała więc po prostu trzy dni...

N. D.: Jak dzisiaj patrzy Ksiądz Kardynał na swoje dzieciństwo w Orouros? Jak wtedy wyglądała codzienność Księdza Kardynała?

KARD. R. S.: Nie da się zaprzeczyć, że moje dzieciństwo było bardzo szczęśliwe. Wzrastałem w pokoju i niewinnej naiwności małej wioski, w której centrum znajdowała się misja duchaczy. Żyłem w rodzinie pobożnej, pogodnej, pełnej pokoju, w której Bóg był obecny, a Matka Boża czczona po synowsku.

Tak jak wielu wieśniaków, moi rodzice byli rolnikami. Kiedy ich obserwowałem, tak sumiennych i radosnych, wyrobiłem w sobie wielki szacunek dla dobrze wykonanej pracy. Wstawali wczesnym rankiem, żeby wyjść na pola, gdzie szedłem z nimi o szóstej rano. Kiedy miałem jakieś siedem lat, już nie mogłem im towarzyszyć, gdyż po Mszy musiałem iść do szkoły. Muszę powiedzieć, że nie byliśmy zamożni; produkt naszej pracy dawał nam wyżywienie, odzienie i zapewniał minimum życiowe. Wielkie wrażenie wywierały na mnie wielkoduszność, uczciwość, pokora, ofiarność i szlachetność uczuć moich rodziców,

ich wiara i intensywność życia modlitwą, a nade wszystko ich zaufanie do Boga. Nigdy nie widziałem, żeby z kimkolwiek weszli w konflikt.

Pamiętam też mecze piłki nożnej, zabawy w chowanego, w serso, a przede wszystkim niekończące się tańce przy świetle księżyca. Jakże zapomnieć długie chwile spędzane ze starszymi, kiedy razem z kolegami słuchaliśmy baśni i legend kultury Koniagi? Dla nas, dzieci, była to swoista szkoła, cudowne chwile dane nam po to, byśmy lepiej przyswoili sobie wartości i tradycje. Świąteczne ceremonie odbywały się regularnie i były wielobarwne. W mojej pamięci dokładnie się zapisały wielkie święta związane ze zniwami. Opróżnialiśmy spichlerze, nie troszcząc się o to, czy czegoś nam zabraknie...

Do naszej chaty mógł przyjść każdy, o każdej porze dnia i nocy. Wszyscy byli mile widziani na posiłku. Największym szczęściem taty i mamy, ich największą wewnętrzną radością, było widzieć, że nasi goście są szczęśliwi, goszczeni po królewsku w naszym domeczku. W zwykłym fakcie ugoszczenia innych widzieli Boże błogosławieństwo i ogromną radość. Nasza mała, trzyosobowa rodzinka przez kilka dni czuła się „tak liczn[a] jak gwiazdy na niebie” (Hbr 11, 12).

Miłość, wielkoduszość i radość z otwierania drzwi swojego domu dla sąsiadów lub dla obcych zawsze sprawiają, że powiększają się przestrzenie naszego serca; „rozszerzyło się nasze serce”, pisał święty Paweł do Koryntian (2 Kor 6, 11). W centrum wszystkiego pozostawał altruizm. Wciąż jeszcze pamiętam na przykład, że tata miał przyjaciela, który co roku przychodził z daleka, żeby spędzić w naszym domu święta Bożego Narodzenia, a potem Wielkanocy. Zostawał ze swoją rodziną tak długo, jak chciał; mama zawsze była uczynna, miała wciąż jednakowy uśmiech i wielką delikatność.

N. D.: Jak przebiegały lata we francuskiej szkole w wiosce Księdza Kardynała?

KARD. R. S.: Kiedy skończyłem siedem lat, po porannej Mszy szedłem do szkoły podstawowej. W tym czasie mogliśmy rozmawiać w swoim języku w domu, a w sali lekcyjnej czy na dziedzińcu szkolnym – po francusku. Za złamanie tej zasady byliśmy karani „znakiem”, swoistym małym naszyjnikiem z surowego drewna, który symbolizował naszą winę... W istocie jednak dzieci były dumne z tego, że chodzą do szkoły, że uczą się języka i kultury francuskiej. Naszą ambicją rzeczywiście było otwarcie się na wszystko, co prowadzi do wiedzy i do świata nauki.

Łączyła mnie silna przyjaźń z kolegami ze szkoły; nawet młodzi byli ze sobą bardzo związani. Mogliśmy się bić, ale nigdy to nie było nic poważnego. Do dziś straciłem wielu tych przyjaciół, którzy zmarli w dość młodym wieku; niektórzy nadal żyją w wiosce albo w innych regionach Gwinei. Zachowałem wiele wspomnień z tego okresu, tak czystego, naznaczonego heroizmem misjonarzy, których życie było całkowicie przepojone Bogiem.

Byłem jedynakiem, otoczonym wielką miłością, ale bez nadopiekuńczości. Rodzice nigdy mnie nie karali; okazywałem im niewyczerpaną czułość i pełne miłości uwielbienie.

Chociaż już wrócili do domu Ojca, wciąż czuję miłość, która utrzymuje nas w głębokiej jedności.

Pamiętam również babcię ze strony mamy, która została ochrzczona u kresu życia, w chwili śmierci. Dostała na chrzcie imię Róża, imię świętej patronki naszej parafii. Babcia zgodziła się przyjąć chrzest, kiedy ksiądz jej wyjaśnił, że w ten sposób będzie mogła spotkać się z nami w Niebie. Na początku nie rozumiała sensu chrztu; bardzo się ucieszyłem, że stanie się dzieckiem Bożym, bo miałem pewność, że kiedyś wyruszymy, by żyć razem w Niebie.

N. D.: W gruncie rzeczy wydaje się, że w centrum życia Księdza Kardynała w Ourous byli duchacze...

KARD. R. S.: Jak już Panu mówiłem, urodziłem się 15 czerw ca 1945 roku. Sakrament bierzmowania przyjąłem 15 czerwca 1958 roku w Bingerville, z rąk J.E. Boivina, ówczesnego arcybiskupa Abidżanu. Zostałem ochrzczony w wieku dwóch lat, 20 lipca 1947 roku, przez duchacza, a święcenia kapłańskie przyjąłem 20 lipca 1969 roku z rąk biskupa duchacza, J.E. Raymonda-Marie Tchidimbo.

Wejście do rodziny Chrystusa w całości zawdzięczam wyjątkowemu poświęceniu ojców duchaczy. Do końca życia zachowam ogromny podziw dla tych ludzi, którzy opuścili Francję, swoje rodziny i bliskich, żeby zanieść miłość Boga na krańce świata.

Trzema pierwszymi misjonarzami, którzy założyli misję świętej Róży w Ourous, byli ojcowie Joseph Orcel, Antoine Reeb i Firmin Montels. Przyjechali w okolicach Wielkanocy 1912 roku i stawili się u komendanta Francuskiego Okręgu w Youkounkoun, który ich nie przyjął. Ruszyli w dalszą podróż i przybyli do Ithiou. Tam przeprawili się przez rzekę i dotarli do Ourous, gdzie zostali przyjęci z otwartymi ramionami.

Przez trzy miesiące obozowali w lesie. Brakowało im wszystkiego. Cierpieli z powodu głodu i wrogości komendanta Okręgu, stacjonującego półtora kilometra od Ourous. Każdego ranka po Mszy ojciec Orcel z kielnią i młotkiem w ręce budował tymczasową chatę, w której mieli zamieszkać. Pół roku później fizycznie wyczerpany ojciec Montels ciężko zachorował; Bóg powołał go do siebie 2 września 1912 roku i tak stał się on „kamieniem węgielnym” powstającej misji.

Każdego wieczoru ojcowie z Ourous gromadzili dzieci koło wielkiego krzyża postawionego na podwórzu misji, mającego jakby symbolizować serce i centrum wioski; widać go było z daleka – nadawał kierunek całemu naszemu życiu! Wokół krzyża odbywała się nasza ludzka i duchowa edukacja. Tutaj, kiedy słońce wciąż zwlekało z zachodem, misjonarze wprowadzali nas w tajemnice chrześcijańskie.

Pod opieką ogromnego krzyża z Ourous Bóg nas przygotowywał na bolesne wydarzenia w czasach prześladowań przez rewolucję. Kościół w moim kraju doświadczył ich przez cały czas trwania reżimu Sékou Touré. Te dyktatorskie rządy doprowadziły ludność do znikczemnienia, kłamstwa, brutalności, przeciętności i do duchowej nędzy.

Kościół w Gwinei przeszedł straszną drogę krzyżową. Cały młody naród zmienił się w jedną wielką dolinę łez. Jeśli jesteśmy winni Sékou Touré pewną wdzięczność za rolę, jaką odegrał w uzyskaniu przez nas niepodległości, to jak zapomnieć o straszliwych zbrodniach, o obozie Boiro, gdzie zmarło wielu więźniów, bestialsko torturowanych, upokarzanych i eliminowanych w imię rewolucji, rozpętanej przez krwiożerczą władzę, obsesyjnie nękaną widmem spisku?

Fizyczne doświadczenie krzyża to łaska bezwzględnie konieczna dla naszego wzrastania w wierze chrześcijańskiej i opatrnościowa okazja, żeby upodobnić się do Chrystusa, aby wejść w głębię niewysłowionego. Rozumiemy więc, że przebijając serce Jezusa, włócznia żołnierza otworzyła wielką tajemnicę, gdyż sięgnęła dalej niż serca Chrystusa, otworzyła Boga, weszła, jeśli tak można powiedzieć, w sam środek Trójcy.

Dziękuję misjonarzom, którzy mi uświadomili, że krzyż to centrum świata, serce ludzkości i punkt zakotwiczenia naszej stabilności. Na tym świecie istnieje bowiem tylko jeden stały punkt, zapewniający człowiekowi równowagę i spójność. Wszystko inne jest ruchome, zmienne, ulotne i niepewne: *Stat Crux, dum volvitur orbis*, „Tylko Krzyż stale trwa, a świat krąży wokół niego”. Golgota jest najwyższym położonym punktem na świecie, skąd możemy widzieć wszystko innymi oczyma, oczyma wiary, miłości i męczeństwa – oczyma Chrystusa.

W Ourous naznaczyła nas obecność krzyża, który został wyrwany z ziemi podczas rewolucji Sékou Touré, zastąpiony flagą narodową, a po śmierci dyktatora wrócił na swoje miejsce. Kiedy upadł krzyż, dla wiernych chrześcijan było to nieopisanym cierpieniem. W tym czasie przychodził, dom ojców i dom sióstr Służebnic Najświętszego Serca Jezusa z Wersalu, szkoły i cmentarz już były skonfiskowane i znacjonalizowane.

W czasach mojego dzieciństwa ojcowie uczyli nas katechizmu Piusa X w naszym języku, a potem, przez dwa ostatnie lata przygotowania do uzyskania świadectwa – po francusku. Mówili nam o Biblii czy o historii Kościoła. Dzieci zadawały mnóstwo pytań, a duchacze opowiadali o swoich misjach w innych krajach. Kiedy zapadał mrok, śpiewaliśmy wieczorne modlitwy; wtedy błogosławili nas i rozchodziliśmy się do swoich chat. Być może myśli Pan, że opisuję jakiś idylliczny świat, ale taka była rzeczywistość.

Moi rodzice nigdy nie opuścili niedzielnego nabożeństwa. Służyłem do Mszy, najpierw w niedziele, potem ojciec Marcel Bracquemond poprosił, żebym przychodził codziennie służyć na Mszy o szóstej rano. Zauważył, że bardzo lubię liturgię. Aby nam pomóc dobrze spełniać funkcję ministrantów, ojciec przełożony, Martin Martinière, wyznaczył jednego z najstarszych chłopaków – był to Barnabé Martin Tany – żeby nauczył nas pierwszych modlitw u stóp ołtarza. Po zakończeniu Mszy siedłem do domu na śniadanie, a potem do szkoły.

N. D.: *Jak narodziło się powołanie kapłańskie Księdza Kardynała i decyzja o wstąpieniu do seminarium?*

KARD. R. S.: Jeśli szukam źródła swojego powołania kapłańskiego, jakże nie dostrzec, tak jak święty Jan Paweł II, że „pulsuje ono w Wieczerniku w Jerozolimie”? Właśnie z Wieczernika, podczas ostatniego posiłku, jaki Jezus spożywał z uczniami, z „tej nocy, której został wydany” (1 Kor 11, 23), z „ogromnej nocy początków” i z pierwszej celebracji eucharystycznej płynie sok karmiący wszelkie powołanie, zarówno powołanie Apostołów i ich następców, jak powołanie każdego człowieka. W pierwszej Eucharystii zawiera się moje powołanie kapłańskie i powołanie wszystkich księży. Już w łonie matki zostałem odłączony, wezwany do służenia Bogu i Kościołowi. Podczas każdej z moich codziennych Eucharystii słyszę, jak w moim sercu rozbrzmiewają Słowa, jakie Jezus skierował do Apostołów w tym pamiętnym dniu umywania nóg, ustanowienia kapłaństwa i Eucharystii, jak gdyby te słowa zostały skierowane również do mnie: „Czy rozumiecie, co wam uczyniłem? Wy Mnie nazywacie «Nauczycielem» i «Panem», i dobrze mówicie, bo nim jestem. Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wy powinniście sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem” (J 13, 12-15). Jestem pewien, że tej nocy Jezus myślał także o mnie i już położył mi dłoń na głowie.

Ojciec Bracquemond, w kontekście codziennej Eucharystii, z pewnością zauważając moje żarliwe pragnienie poznania Boga, prawdopodobnie pod wrażeniem mojego umiłowania modlitwy i wierności codziennej Mszy, spytał mnie, czy chcę wstąpić do seminarium. Z charakterystycznymi dla dzieci zdziwieniem i spontanicznością odparłem, że chcę, w ogóle nie wiedząc, do czego się zobowiązuję, bo nigdy nie wyjeżdżałem z mojej wioski i nie miałem pojęcia, jak wygląda życie w seminarium...

Wytłumaczył mi, że jest to dom niesiony modlitwą i miłością całego Kościoła. Jak mówił, to miejsce przygotowuje mnie razem z innymi młodymi chłopcami do tego, żeby zostać księdzem tak jak on. Po tym prostym wyjaśnieniu radość, że kiedyś zostanę księdzem, podwoiła rozmiary mojego serca, zachwytem i „szaleństwem”!

Ksiądz mnie poprosił, żebym o tym porozmawiał z moimi rodzicami, Alexandrem i Claire, których świetnie znał. Najpierw poszedłem do mamy, powiedzieć jej, że być może będę mógł wstąpić do seminarium. Nie wiedziała wcale, na czym polega seminarium, ale była ciekawa, dlaczego chcę tam iść. Wyjaśniłem jej, że chodzi o pójście do specjalnej szkoły, która mnie przygotowuje do zostania księdzem, żeby poświęcić się Bogu tak jak ojcowie duchacze... Odparła, szeroko otwierając oczy, że straciłem głowę, żeby mówić w taki sposób, albo że musiałem źle zrozumieć słowa ojca. Dla mojej matki i innych mieszkańców wioski wszyscy księża siłą rzeczy byli biali... Faktycznie, wydawało im się niemożliwe, żeby czarny mógł zostać księdzem! Było więc oczywiste, że źle zrozumiałem słowa ojca Marcela Bracquemonda. Poleciała mi więc, żebym o tym porozmawiał ze swoim ojcem, przekonana, że powiedziałem jakieś głupstwo, które nie będzie miało dalszego ciągu.

Tego samego dnia poszedłem na pole do taty, a on zareagował tak samo... Próbowałem mu powiedzieć, że to ojciec Bracquemond mnie przekonał: tak, mogę stać się taki jak on. Z czułym, a zarazem kpiącym uśmiechem tata przytulił mnie do serca, jakby chciał mnie pocieszyć z powodu swojego sceptycyzmu. Był pewien, że właśnie opowiadał mu,

co mi się śniło ostatniej nocy! Również i dla niego moja prośba była niemożliwa – czarny nie może zostać księdzem Kościoła katolickiego. Uważał, że ta dziwaczna myśl mogła wziąć się wyłącznie z mojej dziecinnej naiwności. Ale ja nalegałem, twierdząc, że tak powiedział ojciec Bracquemond... Postanowili więc, że pójdą do niego i zweryfikują tę wiadomość. Zakonnik potwierdził, że nie skłamałem i że faktycznie poddał mi tę myśl: zostać księdzem, a najpierw wstąpić do niższego seminarium, żeby się wykształcić! Moi rodzice dosłownie zamarli ze zdumienia. Wieczorem, w świetle księżyca, zaproponowali mi wyjazd na rok, wyraźnie pokazując, że nie mają pojęcia, ilu lat nauki może wymagać seminarium...

Miałem jedenaście lat i właśnie uzyskałem świadectwo ukończenia nauki. W tamtych czasach młodzi seminarzyści z Gwinei musieli kształcić się na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Byłem pełen entuzjazmu, szczęśliwy i dumny, nic nie wiedziałem o życiu, jakie mnie czeka w seminarium świętego Augustyna w Bingerville.

Żegnając się z rodzicami, czułem, że czas zmienia swój bieg. Przeczuwałem, że więzi z Ourous stopniowo zanikną, a powstaną inne więzi między Panem a mną, nieposiadającym nic prócz małego serduszka, już rozmiłowanego w Panu. Byłem jedynakiem i rozumiałem, że ta ofiara jest dla rodziców ciężka. Własnoręcznie sporządzili dla mnie walizkę, w której zmieściło się kilka par majtek i kilka koszul, nic więcej. Ojcowie mi pomogli w zorganizowaniu podróży, a jeden z nich zawiózł mnie do Labé, miasteczka leżącego 250 kilometrów od Ourous, gdzie wsiadłem do ciężarówki, która miała mnie zawieźć do Konakry. Miałem szczęście podróżować z innym seminarzystą, Alphonsem Sara Tylé, który wstąpił do Bingerville niewiele wcześniej. Na początku tej niezwyklej przygody był on dla mnie cennym towarzyszem, dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

Nigdy przedtem nie wyjeżdżałem z mojej wioski. Poza mieszkańcami Ourous nie znałem nikogo. W Konakry poczułem się zagubiony. A przecież stale niosła mnie radość, że wstępuję do seminarium, i zachęty Alphonse’a, mojego starszego kolegi, na drodze prowadzącej nas do Boga. Mówiłem sobie, że jeśli on odszedł, a potem wrócił, to siłą rzeczy będzie to mocne doświadczenie. Wsiadliśmy na wielki statek, *Foucault*, i podróżowaliśmy na nim cztery dni do Abidżanu; po drodze płynęliśmy wzdłuż wysp Loos oraz wybrzeży Sierra Leone i Liberii. Oczywiście nie umiałem pływać. Byłem więc bardzo zdziwiony, że taka maszyna, bardzo obciążona towarami i pasażerami, „idzie” po wodzie. Co za odkrycie! Było tam mnóstwo podróżnych i bagaży, i panował wielki ruch. Wsiadłem tam z kilkunastoma gwinejskimi seminarzystami, których imion nie mogę zapomnieć. Byli to Adrien Tambassa, Pascal Lys, Maximin Bangoura, Richard Bangoura, Camille Camara, Alphonse Sara Tylé, Joseph Mamidou, Yves Da Costa i Jean-Marie Touré. Ja byłem najmłodszy...

Podróżowaliśmy w ładowni statku, gdzie panowało gorąco i duchota. Nie dało się jeść. Zapachy maszyn i kuchni przyprawiały nas o mdłości; niewielka ilość zbyt tłustego jedzenia, jakie byliśmy w stanie przełknąć, szybko wracała, żeby nakarmić ryby! W naszych żołądkach nie zostawało nic. Podczas tych czterech dni podróży jedyne miłe i wspa-
niałe chwile przynosiła pora Mszy świętej, odprawianej przez kapelana statku w kaplicy

na pokładzie pierwszej klasy. W otoczeniu luksusu i dobrobytu, uwolnieni od kołysania statku, chcieliśmy, żeby Msza trwała całymi godzinami. Niestety, po zakończeniu Mszy przez chwilę przechadzaliśmy się po mostku, po czym schodziliśmy do ładowni, która stała się istnym piekłem.

Do portu w Abidżanie dotarliśmy bardzo zmęczeni. Od razu zostaliśmy przewiezieni samochodem do niższego seminarium świętego Augustyna. Po tej trudnej podróży zaczęła się prawdziwa przygoda.

N. D.: Czy wyjazd do niższego seminarium nie odbył się nieco brutalnie, przy takim oddaleniu od rodzinnego świata Księdza Kardynała?

KARD. R. S.: Przez niefortunny zbieg okoliczności pierwszy rok był bardzo zły. Do Bożego Narodzenia nauka szła mi dobrze. Potem zachorowałem. Miałem anemię, byłem osłabiony, leczono mnie, ale naprawdę nie wiadomo, z jakiej choroby. Przełożeni zagrozili, że odesłają mnie do rodziny, gdyż nie miałem dość silnego zdrowia. W tamtych czasach od seminarzystów wymagano trzech rzeczy, żeby mogli kontynuować przygotowanie do kapłaństwa: świętości, wiedzy i zdrowia... Muszę przyznać, że nie posiadałem żadnej z nich!

W obawie przed odesłaniem z seminarium z powodu moich braków, poprosiłem siostrę pielęgniarkę, żeby powiedziała ojcu przełożonemu, że czuję się lepiej, ale było to tylko pobożne i wielkoduszne kłamstwo. Nie chciałem wracać do domu i wyjeżdżać po takiej porażce. W rzeczywistości lekarze leczyli mnie w ciemno. W końcu ojciec przełożony poprosił specjalistów o wykonanie pewnych bardziej pogłębionych badań. Odkryto wtedy, że zostałem zakażony tęgoryjcem dwunastnicy, który mnie stopniowo zżerał. Odpowiednia kuracja uwolniła mnie od tych pasożytów i zacząłem nabierać sił. W czerwcu przełożony w porozumieniu z nauczycielami pozwolił mi wrócić po wakacjach na drugi rok szkolny, pod warunkiem, że nadgonię zaległości z pierwszego roku i uzyskam dobre wyniki w drugim.

Nadszedł więc czas długich wakacji i wsiedliśmy na statek do Gwinei. Pilnowałem się, żeby nie przyznać się rodzicom, że byłem tak chory, bo bałem się, że powiedzą mi stanowczo: „Robert, nie ma mowy, żebyś wracał do Bingerville!”. Obawiałem się tego strasznego zdania... Tymczasem, gdy wróciłem do domu, matka uznała, że jestem wątły i bardzo schudłem. Umiałem jednak znaleźć słowa uzasadniające mój stan fizyczny. Zdobyłem się na wyjaśnienie: „To przez wymagania sportu i codziennej pracy fizycznej, rygory życia w seminarium”. I beczelnie ciągnąłem: „Ale jestem tam bardzo szczęśliwy i mam wśród kolegów bardzo dobrych przyjaciół. A poza tym, mam, muszę stopniowo przywyknąć do tego nowego życia, które jest bardzo piękne, nawet jeśli wymaga ogromnych wysiłków!”.

Miałem dużo szczęścia, gdyż moi rodzice nigdy się nie sprzeciwiali mojemu powołaniu. Ale niektórzy z ich przyjaciół, niespokojni o ich starość, usiłowali ich przekonać, że są bardzo nieroztropni, pozwalając, żeby ich jedynak poszedł na księdza. Posunęli się nawet

do prowokowania ich drażliwymi pytaniami, żeby obudzić w nich lęk: czy pomyśleliście o swojej starości? Kto się będzie wami zajmował, kiedy przyjdzie czas, że już nie będziecie w stanie zapracować na swoje potrzeby? A do tego nigdy nie będziecie mieli wnuków... Czyście się nad tym zastanawiali?

Z Bożą pomocą, wspierani codzienną modlitwą, tata i mama nigdy mi nie wyjawili swoich zastrzeżeń, gdyż nie chcieli się przeciwstawiać pragnieniu mojego serca. Rodzice rozumieli głębię mojej radości i pod żadnym względem nie sprzeciwili się planowi Boga względem mnie. Jako chrześcijanie uznali, że jeśli moja droga naprawdę prowadzi do seminarium, to Pan mnie poprowadzi do końca.

Po wakacjach, szczęśliwy, znowu ruszyłem do Bingerville, na drugi rok seminarium. Było to 27 września 1958 roku, na pokładzie statku *Mermoz*.

W tym czasie Gwinea niespokojnie usiłowała uzyskać niezawisłość. Po całym kraju krzyczano: „Wolimy wolność w ubóstwie niż dostatek w niewoli”. Moja ojczyzna, wybrawszy natychmiastową niepodległość, zerwała wszelkie więzi z Francją. Wielu moich rodaków uważało, że na horyzoncie błyszczą już pierwsze promienie słońca wolności. Nerwowa i niezadowolona z tej decyzji gwinejskiego rządu Francja generała de Gaulle’a szykowała się więc do wyjazdu ze swoją bronią i bagażem. Panowała atmosfera radości i zarazem smutku, euforii i budzącego lęk realizmu.

Wśród tych niepewnych nastrojów wsiedliśmy na statek do Abidżanu i Bingerville. Rok szkolny 1958/1959 przebiegł normalnie; uzyskałem bardzo dobre, choć nie doskonałe wyniki. Udało mi się co najmniej uzupełnić luki i zostałem dopuszczony do dalszego kształcenia na księdza.

Potem znów miałem przed sobą długie wakacje w Gwinei, jak zwykle poprzedzone czterema dniami postu i pokuty. Dla większości z nas podróż statkiem była bowiem istną gehenną. Choroba morska pozostała wiernym towarzyszem naszych podróży. Niecierpiełm jej, ale ona się do nas przywiązała i nie chciała nas puścić!

Rok szkolny 1959/1960 był dla gwinejskich seminarzystów ostatnim rokiem w Saint-Augustin-de-Bingerville. Na stanowisku dyrektora seminarium ojca Thépaut zastąpił ojciec Messner. Afrykańscy księża, Jacques Nomel, Louis Grandouillet i Pierre-Marie Coty zostali wówczas mianowani profesorami seminarium. Byliśmy szczęśliwi i dumni, że wśród formatorów mamy wzorce afrykańskie! Ci młodzi księża byli dumą i pociechą białych misjonarzy, którzy w ten sposób mogli zakosztować owoców swoich poświęceń. Ich wychowankowie uczestniczyli teraz w formowaniu afrykańskiego duchowieństwa. Pamiętam, że w Bingerville panowała wspólna atmosfera pracy i komunii kościelnej. Ale my, Gwinejczycy, musieliśmy nieco skrócić rok szkolny... Statków odpływających do Konakry było coraz mniej z powodu rewolucyjnej polityki Sékou Touré, która się radykalizowała i zamykała Gwineę w sobie. Zaraz na początku czerwca musieliśmy opuścić Wybrzeże Kości Słoniowej, na pokładzie statku *Général Mangin*, płynącego z Libreville.

N. D.: Jakie wspomnienia zachował Ksiądz Kardynał z lat spędzonych na Wybrzeżu Kości Słoniowej?

KARD. R. S.: Mój pobyt w niższym seminarium świętego Augustyna trwał tylko trzy lata (1957–1960). Program kształcenia był dokładnie taki sam jak program francuskich kolegów i liceów, gdyż seminarzyści musieli zdawać te same oficjalne egzaminy, co ich koledzy studenci. Profesorowie traktowali na równi formację intelektualną, ludzką i duchową. Dużą wagę miały również zajęcia sportowe i codzienna praca fizyczna.

Sercem dnia była jednak codzienna Msza. Starannie przygotowywana, celebrowana żarliwie i uroczystie, zwłaszcza w niedziele. Formacja liturgiczna, pozwalająca podążać za celebrowanymi tajemnicami, była przedmiotem szczególnej uwagi. Wdrażanie się w milczenie, dyscyplinę i życie wspólne przyczyniało się do kształtowania seminarzystów tak, by ich przygotować do budowania osobistego życia wewnętrznego i do stania się prawdziwymi szafarzami Bożych tajemnic. Uczyliśmy się, jak razem żyć jako jedna rodzina, unikając podziałów wynikających z przynależności regionalnej czy plemiennej. W porze spacerów czy rekreacji stale musieliśmy zmieniać towarzysza, żeby przywyknąć do życia braterskiego z każdym, bez uprzywilejowania czy wyróżniania kogokolwiek. W ten sposób mogliśmy się zaprawiać do przyszłej pracy kapłańskiej w chrześcijańskich wspólnotach wielokulturowych, wieloetnicznych i wielorasowych. Księża chcieli, żeby Eucharystia uczyniła z nas krewnych, jedną rodzinę, jeden lud, jedną rasę – rasę dzieci Bożych. Obecny arcybiskup Abidżanu, kardynał Jean-Pierre Kutwa, był moim kolegą z klasy.

Po uzyskaniu przez Gwineę niepodległości w październiku 1958 roku, z powodu trudności w relacjach i złej współpracy między Sékou Touré a Félixem Houphouët-Boigny, musieliśmy wrócić do Gwinei, do seminarium-kolegium prowadzonego przez duchaczy.

N. D.: Od tej pory formacja seminaryjna Księdza Kardynała podlegała trudnościom życia politycznego w Gwinei?

KARD. R. S.: Wszyscy faktycznie jesteśmy zależni od społeczno-politycznego i historycznego kontekstu, w jakim żyjemy. A Bóg nas kształtuje w danym środowisku przez mniej lub bardziej fortunate wydarzenia i przez swoich reprezentantów. Wie, jak nas prowadzić przez zmienne koleje historii.

Ze względu na trudności polityczne ówczesny arcybiskup Konakry, J.E. Gérard de Milleville, postanowił sprowadzić nas z seminarium w Bingerville do seminarium-kolegium Sainte-Marie-de-Dixinn. Znajduje się ono w dzielnicy Konakry o tej samej nazwie. Aby jednak ułatwić nam przygotowanie do kapłaństwa, rozeznanie powołania, intelektualną, ludzką i duchową formację w środowisku częściowej samotności, umieścił nas w nowicjacie Sióstr świętego Józefa z Cluny, leżącym w pobliżu kolegium Dixinn. Siostry już nie miały nowicjuszek, więc budynek stał pusty, gotowy do przyjęcia niewielkiej grupy seminarzystów. W kolegium, w którym uczyli się młodzi chrześcijanie, muzułmanie czy

Afrykanie wyznający religie tradycyjne, ważne było, aby przyzwyczaić seminarzystów do częstych „spotkań” z Jezusem. Nowicjat siostr zmienił się więc w seminarium, którego kierowanie powierzono ojcu Louisowi Barry’emu.

Jako pierwszy przełożony seminarium zabiegał o to, żeby być wzorem, aby nasza dyscyplina, pobożność, samo pragnienie coraz pełniejszego poznawania Boga codziennie nieco wzrastały. Chciał nam wpoić zamiłowanie do prawości i pokory. W ślad za świętym Pawłem milcząco wzywał swoim przykładem, byśmy przyjęli „wszystko, co jest prawdziwe, co godne, co sprawiedliwe, co czyste, co miłe, co zasługuje na uznanie; jeśli jest jakąś cnotą i czynem chwalebnym”, jak mówi List do Filipian; Apostoł pogan mówi też bowiem: „Czyńcie to, czego się nauczyliście, co przejęliście, co usłyszeliście i co zobaczyliście u mnie” (Flp 4, 8-9).

Jak to później odkryłem w swoim własnym doświadczeniu kapłańskim, chciał uczynić z nas, już w naszej wczesnej młodości, z naszymi słabościami, nie tylko *alter Christus*, ale znacznie więcej, *ipse Christus* – samego Chrystusa.

Chodziliśmy na lekcje razem z innymi uczniami, jak tego wymagały władze Gwinei. Niestety, po roku kolegium zostało skonfiskowane i znacjonalizowane przez państwo, podobnie jak wszystkie szkoły, dzieła socjalne i nieruchomości Kościoła. Ten krok rewolucyjnych władz Gwinei natychmiast wywołał żywy protest biskupa Gérarda de Milleville. Czym prędzej został więc wydany z kraju za obronę praw Kościoła. Odtąd przez wiele miesięcy seminarzyści byli zmuszeni zostać każdy w swojej parafii, gdzie ojcowie usiłowali prowadzić dla nich jakieś wykłady. Pod presją reżimu i wskutek wszelkiego rodzaju trudności wynikających z prześladowań wielu seminarzystów porzuciło powołanie i przeszło do szkół państwowych.

Wytrwałem razem z paroma kolegami pragnącymi poświęcić się Panu, gdyż naprawdę uważałem, że moją drogą jest kapłaństwo. Po rozlicznych negocjacjach nasz nowy biskup, J.E. Tchidimbo, zdołał nas zapisać do państwowego kolegium w Kindia, abyśmy tam podjęli normalne życie i naukę.

Rok był już od dawna w toku i musieliśmy zrobić dyplom. Jak jednak zdać egzamin, skoro straciliśmy ponad pół roku zajęć? Dopiero bowiem w marcu 1962 roku kilkunastu seminarzystów, niedobitki grupy z Dixinn, mogło dołączyć do Kindia, 150 kilometrów od Konakry. Zabraliśmy się za remont, żeby bardzo zdewastowane wnętrza dawnego hostelu młodzieżowego przekształcić w nadający się do zamieszkania dom, z salą do nauki, pomieszczeniami do rekreacji i refektarzem. Dzięki poświęceniu ojców mogliśmy szybko przerobić dwie największe sale w budynku na sypialnie. Seminarium zaczynało żyć, mając za patrona świętego Józefa, a za dyrektora ojca Alphonse’a Gilberta.

Temu kapłanowi, mającemu serce pełne czułości dla każdego z nas, udało się przywrócić sens naszemu życiu przyszłych księży. Jego delikatność i jego homilie przyciągały nas do Jezusa i skłaniały ku prawdziwej, coraz bardziej osobistej więzi z Bogiem. Przykład, ludzkie zalety i intensywne życie wewnętrzne tego misjonarza mnie osobiście mocno naznaczyły. Kiedy któregoś z nas ogarnęła gorączka gniewu, niechęci czy zachowania niezbyt godnego chrześcijanina, ojciec Gilbert żądał, by poszedł on pomodlić się przed

Najświętszym Sakramentem, aby skonfrontować się z Jezusem i zbadać swoje sumienie, pozwalając, by Jego cicha obecność przyniosła pokój.

Po wielu wymagających cierpliwości miesiącach arcybiskup Tchidimbo uzyskał także pozwolenie na ponowne otwarcie seminarium i zapewnienie nauki seminarzystom z dziesiątego i jedenastego roku, czyli przygotowania do matury. Co tydzień, z wielkim poświęceniem i z pragnieniem solidnego zbudowania afrykańskiego duchowieństwa dla przyszłości, ojciec Gérard Vieira przyjeżdżał z Konakry, żeby prowadzić zajęcia z matematyki, a ksiądz Maurice de Chalendar, by uczyć nas łaciny i greki. Obaj zostawali z nami na cały dzień. Oni także dawali wspaniały przykład życia kapłańskiego i intelektualnej prawości. Na prośbę arcybiskupa ojciec Lein, proboszcz Mamou, wykazał gotowość wykładania filozofii najstarszym i uczenia łaciny najmłodszych. W 1963 roku przybyli posłki z francuskiej diecezji Luçon – księża Joseph Bregeon i Emmanuel Rabaud. Mieliśmy zatem piękny zespół kompetentnych i oddanych księży, którzy towarzyszyli nam nie tylko w przyswajaniu ludzkiej wiedzy, ale przede wszystkim w trudzie rozeznawania woli Boga.

N. D.: Po raz kolejny dotykamy znaczenia duchaczy w życiu Księdza Kardynała. Jak Ksiądz Kardynał określiłby przekazaną mu przez nich duchowość?

KARD. R. S.: Sądzę, że od wczesnego dzieciństwa, nawet jeszcze przed rozpoczęciem nauki katechizmu, najgłębsze wrażenie wywarła na mnie u duchaczy regularność życia modlitwą. Nigdy nie zapomnę duchowej regularności ich życia codziennego.

Dni duchaczy były uporządkowane tak jak dni mnichów. Bardzo wcześnie rano schodzili się do kościoła na wspólną i indywidualną modlitwę. Potem każdy przy swoim ołtarzu odprawiał Mszę, z asystą ministranta. Po śniadaniu zabierali się do pracy. W południe spotykali się w kościele na modlitwę w ciągu dnia i Anioł Pański. Zaraz po obiedzie znów wracali do kościoła na dziękczynienie i nawiedzenie Najświętszego Sakramentu. Po czasie odpoczynku patrzyłem z ciekawością, jak około 16.00 modlą się indywidualnie, czytając jakąś książeczkę. Domyśla się Pan, że odmawiali brewiarz... Pod koniec dnia, około 19.00, następowała modlitwa wieczorna ze wszystkimi, a potem kolacja. O 21.00 któryś z ojców chętnie do nas przychodził pod wielki krzyż, odpowiadał na nasze pytania i starał się nas wprowadzić w życie chrześcijańskie, w ludzkie wartości, w historię świętą. Wieczorne czuwanie zawsze kończyliśmy śpiewem. Pamiętam jeszcze pieśń, która codziennie kończyła nasz dzień; jej tytuł brzmiał: *Nim uśniemy pod gwiazdami*. Ta pieśń przygotowywała nas do pokornego ukłęknięcia przed Bogiem, żeby przyjąć Jego przebaczenie i opiekę w ciągu nocy. W moim sercu wciąż jeszcze żywo rozbrzmiewa jej monotonna melodia.

Ourous poznało wielkich i świętych misjonarzy; wszystkich ich trawił ogień miłości do Boga. Cechowały ich wyjątkowe zalety: ludzkie, intelektualne, duchowe, ale wszyscy zmarli bardzo młodo.

Jak już Panu wspomniałem, ojciec Firmin Montels, założyciel, oddał ducha 2 września 1912 roku, zaledwie w pół roku po założeniu parafii. Umierając, śpiewał: *O salutaris*

Hostia, quae coeli pandis ostium. Bella premunt hostilia, da robur, fer auxilium, „O zbawcza Hostio, godna czci, co lud do niebios wieszysz bram: bój srogi nęka wiernych ci, daj siłę, pomoc ześlij nam!”. Ojciec ten był wybitnym artystą i – według wielu świadectw – świętym. Jego dni były szczelnie wypełnione, codziennie przez cztery godziny uczył katechizmu. Zobowiązał się do codziennego odprawiania drogi krzyżowej i każdego tygodnia do wielu godzin adoracji Najświętszego Sakramentu. Nie licząc godzin nauki naszego miejscowego języka, co było jego codziennym ćwiczeniem.

Kiedy zwracam spojrzenie ku przeszłości i ku początkom misji, czy też ogólnie ku Gwinei, kiedy kolejno rozważam wyjątkowe dary Opatrzności, wiem, że Bóg naprawdę nas prowadził jako przybrane dzieci. Pamiętam, że byłem urzeczony widokiem duchaczy kroczących każdego popołudnia i odmawiających brewiarz... Przyglądałem im się nieznużenie i z zachwytem. Pół wieku później może to się wydać naiwne, ale nie zapieram się tego, co dał mi poznać Bóg.

Każdy dzień duchacze przeżywali w rytm liturgii godzin, Mszy, pracy, różańca, i nigdy nie uchylali się od swoich zobowiązań ludzi Boga. Jako małe dziecko mówiłem sobie, że skoro ojcowie z taką regularnością chodzą do kościoła, to dlatego, że mają pewność, iż kogoś tam spotykają i rozmawiają z Nim z pełnym zaufaniem. W sposób niemal oczywisty moją ambicją było to, żebym i ja mógł spotkać Chrystusa. Kiedy wstąpiłem do seminarium, moja zgoda na to płynęła z pewnością, że kiedyś także i mnie zostanie dane, tak jak misjonarzom, spotkać Jezusa na osobistej modlitwie.

Ileż to razy byłem głęboko poruszony ciszą, jaka panowała w kościele podczas modlitwy ojców? Na początku, siedząc z tyłu, przyglądałem się tym mężczyznom i zastanawiałem się, co robią, klęcząc lub siedząc w półcieniu, skoro nic nie mówią... Ale wydawali się słuchać i z kimś rozmawiać w tym półmroku kościoła, oświetlonego świecami. Byłem prawdziwie zafascynowany praktyką osobistej modlitwy i atmosferą pokoju, jaką ona rodzi. Słuszne wydaje mi się stwierdzenie, że w tym życiu regularnej modlitwy istnieje autentyczna forma heroizmu, wielkości i szlachetności. Człowiek jest wielki jedynie wtedy, gdy jest na kolanach przed Bogiem.

Oczywiście, nie byli doskonali. Mieli swoje humory, swoje ludzkie ograniczenia, ale chcą złożyć hołd ofiarnemu darowi ze swojego życia, ascezie, pokorze tych zakonników. We wszystkich seminariach misjonarzy, na przykład w seminarium Sébikhotane, odnajdywałem owo pragnienie głębokiego poszukiwania Chrystusa w trwaniu na co dzień serce przy sercu. Sposób, w jaki nawiązali kontakt z ludnością, był wzorem delikatności i inteligencji praktycznej. Bez tej zażyłej bliskości z Niebem zadanie misyjne nie mogłoby przynosić owoców.

Cierpienia, jakie zaakceptowali, nie poszły na marne. Moja parafia, na największym odludziu w całym kraju, dała Gwinei najwięcej powołań! Jest to potwierdzeniem proroctw słów, jakie do swojego biskupa napisał ojciec Orcel, 15 sierpnia 1925 roku, trzynaste lat po założeniu parafii świętej Róży: „Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby wśród naszych dzieci pojawiły się powołania. Osobiście uważam, że powołania są nagrodą za poważną formację w rodzinie i na misji”.

Duchacze odcisnęli głębokie piętno na gwinejskim katolicyzmie. Jakże zapomnieć, że ojcowie zajmowali się wszystkimi, nawet najbardziej zniszczonymi chorobą trądowymi? Dotykali ich i pielęgowali, choć chorzy wydzielali odór nie do wytrzymania. Dawali im lekcje katechizmu, gdyż uważali, że również i chorzy mają prawo do wprowadzenia w tajemnice chrześcijańskie i do przyjmowania Chrystusowych sakramentów.

Pomimo politycznych cierpień, jakie nastąpiły potem wraz z marksistowską dyktaturą Sékou Touré, Kościół w Gwinei przetrwał, gdyż został zbudowany na skale – na ofiarach misjonarzy i na radości Ewangelii. Doktryna komunistyczna nigdy nie zdołała poradzić sobie z tymi księżmi, którzy pieszo przemierzali najbardziej zapadłe wioski w towarzystwie kilku katechistów, niosąc na głowie swoją walizkę-kaplicę! Pokora chrześcijaństwa duchaczy była najpotężniejszym murem obronnym przed egalitarnym oblędem rewolucyjnej ideologii marksistowskiej Państwa-Partii w Gwinei. Mała garstka gorliwych i odważnych księży gwinejskich podtrzymała płomień Ewangelii.

N. D.: Czy utrzymał Ksiądz Kardynał kontakt z duchaczami z tamtych czasów?

KARD. R. S.: Niewątpliwie najbardziej znaczącym księdzem, którym posłużył się Bóg, żeby objawić mi moje powołanie, był ojciec Marcel Bracquemond. Wciąż żyje on we Francji. W 2012 roku zaprosiłem go do nas na obchody stulecia parafii w Ourous, a w sierpniu 2014 roku odwiedziłem go w domu opieki w Bretanii.

Nie mogłem przyjąć mojego zaproszenia na obchody rocznicowe w Ourous z powodu swojego wieku i długich dróg, nadal bardzo trudnych do przebycia. Ale dostałem od niego piękny list: „Przez moich przełożonych zakonnych dotarło do mnie uroczyste zaproszenie Księdza Kardynała na jubileusz stulecia parafii świętej Róży w Ourous. Zachowałem w pamięci piękne jej wspomnienie, gdyż widziałem odwagę Księdza Kardynała jako ministranta, szukającego ampułek z olejem na stoliku mszalnym, pod którym czał się wąż. Być może tej odwadze zawdzięcza Ksiądz Kardynał uwagę Ojca Świętego Benedykta XVI. Rozdzieliło nas moje wydalenie w maju 1967 roku... Potem byłem przydzielany gdzie indziej... Teraz, gdy mam osiemdziesiąt sześć lat, jestem obdarzony na tyle dobrym zdrowiem, że jeszcze mogę pomagać przy parafii w Bretanii, niezwykle ujmującym regionie, proszę jednak usprawiedliwić moją odmowną odpowiedź na zaproszenie, ze względu na setki kilometrów dróg między Ourous a Konakry, a także ze względu na postawę niektórych dzisiaj wpływowych chrześcijan w nieszczęsnych okolicznościach, jakie poprzedziły wydalenie... Ale jedna sprawa: proszę powiedzieć Samuelowi Coline, swojemu wujowi, którego małżeństwo z Marie Panaré pobłogosławiłem, że na modlitwie często przychodzi mi ona na myśl, aby dostała mieszkanie w królestwie Chrystusa. Kardynale Sarah, zapewniam Księdza Kardynała o mojej modlitwie: niech Ksiądz Kardynał pozostanie tak odważny jak wtedy, gdy Księdza Kardynała poznałem, i niech pełni wolę Bożą we wszelkiej powierzonej mu przez Kościół władzy”.

Jakże zapomnieć tego młodego księdza, który jako pierwszy powiedział mi o seminarium i o moim powołaniu? Jakże zapomnieć, że pomógł moim rodzicom w organizacji wielkiej podróży do nowego życia, drogi, która trwa nieprzerwanie...

N. D.: Chyba przez te wszystkie lata bardzo mocno towarzyszyli Księdzu Kardynałowi rodzice...

KARD. R. S.: Tak, rodzice zawsze wspierali swoimi pokornymi i mocnymi modlitwami moje powołanie, a potem posługę kapłańską. Nawet po śmierci tata i mama nadal czuwają nade mną z Nieba. Naprawdę są najgłębszym znakiem obecności Boga w moim życiu.

Aby objawić wiekuiste wsparcie swojej czułości, Bóg chciał, żeby umarli w przededniu rocznicy związanej z moim kapłaństwem albo nazajutrz po niej. Ta opatrnościowa zbieżność przekonała mnie, że stale przy mnie będą, przebywając w Niebie, że wciąż mnie otaczają modlitwą, tak jak to czynili na ziemi. 8 grudnia 1979 roku zostałem konsekrowany na biskupa Konakry, a tata zmarł 7 grudnia 1991 roku, dokładnie w czasie, gdy sprawowałem Eucharystię z okazji dwunastej rocznicy sakry biskupiej. Przyjąłem święcenia kapłańskie 20 lipca 1969 roku, a mama zmarła 21 lipca 2007 roku, nazajutrz po trzydziestej ósmej rocznicy moich święceń kapłańskich.

Tak, jej odejście było dla mnie ciężką próbą. Nigdy w życiu tak nie cierpiałem. Nagle poczułem się zupełnie sam. Kiedy mama oddała ducha w Konakry, byłem na rekolekcjach w Abruzji. Rankiem w dniu swojej śmierci próbowała się do mnie dodzwonić, ale byłem poza Rzymem. Późnym popołudniem, w ramionach zakonnicy, siostry Marie-Renée, spokojnie przeszła do domu Ojca.

Kilka godzin po jej śmierci arcybiskup Konakry, Vincent Coulibaly, przekazał mi wiadomość. Tego wieczoru 21 lipca 2007 roku miałem poczucie, że zostałem odcięty od korzeni całego mojego życia. Mój smutek wydawał się nie do przezwyciężenia. Po powrocie do Rzymu zaraz 23 lipca poleciałem do Konakry. Cała ludność, zarówno chrześcijanie, jak muzułmanie, przyjęła mnie i okazywała współczucie tak po bratersku, że miałem wrażenie, iż Bóg mnie skąpał w deszczu otuchy. Nigdy nie zapomnę tego przyjacielskiego wsparcia całej ludności mojego kraju. Miłość i dowody sympatii były głęboko braterskie, jak gdyby mój lud zastąpił mi rodzeństwo, którego nigdy nie miałem. Czułość całej Gwinei sięgała aż do mojego serca.

Wróciłem do Rzymu pełen pokoju, gdyż czułem, że rodzice nadal będą w centrum mojego życia. Zawsze żyli jako bardzo dobrzy chrześcijanie, ulegli wobec woli Bożej.

Kiedy w 2001 roku wyjeżdżałem do Rzymu, mama była absolutnie wspaniała. Bardzo się obawiałem zostawić ją samą, u progu starości. Powierzyłem więc pewnej zakonnicy i przyjaciółce przykre zadanie powiadomienia jej o mojej nowej misji w Rzymie jako sekretarza Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów. Było mi tak smutno, że nie miałem dość siły, żeby samemu jej to powiedzieć. Na wiadomość o mojej przyszłej funkcji

w służbie Kościołowi powszechnemu mama odpowiedziała z czystą wiarą: „Dziękuję Bogu, który dał mi jedno dziecko, a Pan zawsze je zabiera bardzo daleko ode mnie, żeby wykonywało swoją pracę. Dziękuję papieżowi, bo na świecie jest wielu biskupów, a on pomyślał o moim synu, żeby przy nim był. Ale czy Robert stanie na wysokości zadania, jakie mu wyznaczy Ojciec Święty? Czy będzie umiał wywiązać się poprawnie z funkcji, jaką papież mu chce powierzyć? A kto zajmie jego miejsce jako arcybiskup Konakry? Proszę Boga, żeby mu znalazł dobrego następcę”. Ten akt wiary mamy wstrząsnął mną, dodał mi skrzydeł w chwili, gdy miałem ulecieć daleko od niej, na chwałę Boga. Podczas gdy ja się opierałem, żeby zostać w Gwinei, mama mnie zachęciła do uległości.

Tydzień później, kiedy wyjeżdżałem z Konakry, przewróciła się i złamała szyjkę kości udowej... Musiała natychmiast znaleźć się w szpitalu. Kiedy powiedziano mi o tym przez telefon, byłem zbity z tropu; mimo bólu z powodu złamania, jeszcze chciała mnie pocieszać. Moi rodzice utworzyli bowiem wokół mojego powołania atmosferę pokoju, spokojnej pogody ducha i religijnego szacunku, żeby mi umożliwić drogę z Bogiem, bym słuchał tylko tego głosu, który szeptem mi stale, jak Abrahamowi: „Służ Mi i bądź nieskazitelny” (Rdz 17, 1).

Tata i mama byli dla mnie wielkim błogosławieństwem i cennym skarbem; Bóg obficie im błogosławił, dając im ogromną radość z udziału w ceremoniach moich święceń kapłańskich, a potem biskupich. Smucił mnie jedynie fakt, że tata nie przeżył razem z nami wspaniałej podróży duszpasterskiej Jana Pawła II do Gwinei. Zmarł dwa miesiące przed przyjazdem papieża w lutym 1992 roku. Natomiast mama miała zaszczyt zobaczyć go i pozdrowić.

Za te wszystkie hojne dary składam dzięki Bogu. Na nic nie zasłużyłem, ale Bóg często bierze to, co jest niczym. Raczyl rzucić spojrzenie na małego chłopca z biednej wioski. Nie mogłem sobie wyobrazić tego wszystkiego, co zrobił dla mnie Bóg. Któż jednak może wiedzieć, dokąd Bóg nas prowadzi? Proszę popatrzeć na świętego Pawła: czy w swojej zaciekłości przeciwko chrześcijanom wiedział, dokąd idzie, ruszając do Damaszku? A święty Augustyn, młodzieniec żądny zaszczytów i przyjemności, wściekle ambitny, rozdarty między swoimi pragnieniami i dążeniami, ciałem i duchem, czy rozumiał, czego szuka, kiedy opuścił Afrykę dla Mediolanu? Wszyscy jesteśmy przedmiotem tego niezwykłego objawienia Bożego miłosierdzia. Jego dobroć względem nas nie ma granic!

N. D.: Z maturą w kieszeni, Ksiądz Kardynał bardzo szybko wyjechał do Francji?

KARD. R. S.: Rzeczywiście, biskup Tchidimbo zdecydował, że mam kontynuować rozeznawanie powołania we Francji. We wrześniu 1964 roku po maturze wyjechałem z Konakry, żeby zacząć studia z filozofii i teologii w wyższym seminarium w Nancy. Ówczesny biskup Lotaryngii, Pirolley, zgodził się przyjmować seminarzystów z różnych krajów; było nas trzech Gwinejczyków, ale był też chłopak z Laosu, Antoine Biengta, i inny z Korei, Joseph Ho.

Było nas wszystkich seminarzystów około setki i panowała świetna atmosfera. Nawet jeśli już zostałem obszernie wprowadzony w kulturę francuską, musiałem przejść jeszcze inną aklimatyzację, fizyczną i kulturalną... Rozbieżność z Afryką była wielka. Panowało wielkie zimno i po raz pierwszy w życiu, zachwycony, wytrzeszczając oczy, patrzyłem na padający śnieg.

Musiałem stwierdzić, że relacje międzyludzkie są przeżywane inaczej, bez takiej serdeczności, jak w moim kraju. Jednakże te lata studiów filozofii scholastycznej były pięknym doświadczeniem, we wzbogacającym środowisku międzykulturowym. Profesorowie bardzo się trudzili nad naszą formacją.

Kiedy przyjechałem do Nancy, na horyzoncie rysowały się pierwsze oznaki kontestacji maja 1968... Rok wcześniej, 4 grudnia 1963 roku, wydana została Konstytucja o liturgii świętej *Sacrosanctum concilium*. Myślano już o wykorzystaniu tego tekstu jako dokumentu kryjącego klucze, które mogłyby posłużyć do przystosowania liturgii do nowoczesności. Strój kościelny niekoniecznie był respektowany – koloratkę zastąpiono swetrem z golfem – a w gruncie rzeczy tożsamość kapłańska traciła widzialność, zanikając w anonimowości; sutanna stopniowo zmieniała się w strój liturgiczny, którego się pozbywano tuż po zakończeniu celebracji. Przy tym niekoniecznie sobie uświadamiałem te pierwsze oznaki wstrząsu, gdyż w naszych relacjach była piękna wielkoduszność, głębokie pragnienie modlitwy. My, cudzoziemcy, zostaliśmy naprawdę wzruszająco przyjęci. Czuliśmy się całkowicie włączeni w rodzinę Boga.

Podczas wakacji gościliśmy w gospodarstwach czy w rodzinach naszych kolegów z klasy – żeby tam popracować, zarobić trochę pieniędzy i potem w ciągu roku szkolnego pokrywać swoje osobiste wydatki, zgodnie z życzeniem biskupa Tchidimbo.

Przez te wszystkie lata nigdy nie odczułem rasizmu. Jeden raz, w Compiègne, gdzie gościłem u rodziców dobrego kolegi z klasy, Gilles'a Silvy-Leligois, ktoś na ulicy wyzwał mnie od brudnych czarnuchów. Mój kolega wściekł się i chciał sprowadzić swojego ojca. Musiałem uśmierzyć jego gniew, błagając, żeby zignorował tę irracjonalną i niesprawiedliwą agresję. I aby rozładować napięcie, dodałem: „Nie da się zaprzeczyć, że jestem czarnuchem, ale wcale nie jestem brudny!”. Zdawałem sobie sprawę, że z pewnością ten Francuz musiał opuścić Afrykę z wielkim rozgoryczeniem i z jakimiś osobistymi zranieniami. Po prawdzie było to moje jedyne osobiste doświadczenie rasistowskiego ataku we Francji.

N. D.: *Czy w tym okresie francuskim nastąpiły wydarzenia, które jakoś szczególnie naznaczyły Księdza Kardynała?*

KARD. R. S.: Nigdy nie zapomnę mojego kierownika duchowego, ojca Louisa Denisa, świętego kapłana o niezwykle łagodności. Jego serce i umysł nie mogły pomieścić jego mądrości! Był ogromnie cenny na mojej drodze do kapłaństwa, w tym czasie, gdy byłem odcięty od rodziców, bez żadnych wiadomości. Pamiętam też, że w Nancy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem kardynała... Był to wybitny sługa Stolicy Apostolskiej, kardynał

Eugène Tisserant, który zachował mocne więzi ze swoimi lotaryńskimi korzeniami. Ilekroć był przejazdem w Nancy, zawsze mieszkał w naszym seminarium. Kardynał wywarł na mnie wielkie wrażenie rozległością swojego wykształcenia, a przecież nie był dumny. Przeciwnie, jego homilie były wzorem. Nie byliśmy wystraszeni ani przytłoczeni jego formatem, gdyż umiał pozostać prosty i przystępny.

Największą radością tego okresu było spotkanie rodziny André i Françoise Mallardów z ich trzema córkami, Claire, Agnès i Béatrice, które mnie traktowały jak starszego brata. Moi przybrani rodzice okazywali mi tyle serdeczności, że wszędzie, gdzie zaprowadziły mnie studia – z Nancy do Jerozolimy przez Sébikhotane w Senegal i przez Rzym – przyjeżdżali mnie odwiedzić, żeby mi okazać pełną miłości bliskość. Byli oczywiście w Konakry na mojej sakrze biskupiej.

Zostałem emocjonalnie adoptowany i otoczony opieką jak jedno z ich dzieci. Pustka spowodowana oddaleniem moich rodziców została wypełniona ich delikatnością, wsparciem i serdecznością, z jaką mnie kochali. Naprawdę to była moja druga rodzina; więź przetrwała do tej pory i z roku na rok jest mocniejsza.

N. D.: W jaki sposób utrzymywał Ksiądz Kardynał kontakt z rodzicami, którzy wciąż mieszkali w Ourous?

KARD. R. S.: Trzeba zrozumieć, że nie jeździłem do domu podczas ferii szkolnych, nawet podczas długich wakacji. Gwinea była pogrążona w rewolucji, a środki transportu nadal były bardzo drogie. Po uzyskaniu niepodległości przez nasz kraj duchacze już praktycznie nie mieli prawa prowadzić jakiegokolwiek działalności socjalnej, edukacyjnej, leczniczej czy innej. Wszyscy zostali wydalen i z Gwinei w maju 1967 roku.

Odcięcie od rodziny stało się bardziej tragiczne. Nie mogłem pisać, gdyż ryzykowałem narażeniem rodziców, którzy mogliby zostać podejrzani o utrzymywanie kontaktów z zagranicą. Mogliby zostać oskarżeni, potem aresztowani i być może uwięzieni jako spiskowcy użyci przez wrogie mocarstwa zagraniczne, które – jak utrzymywały władze – regularnie knuły plany obalenia rewolucyjnego reżimu gwinejskiego...

Jedynymi możliwościami uzyskania wiadomości były wizyty biskupa Tchidimbo w Nancy. Przekazywał nam informacje o rozwoju sytuacji w Gwinei. Nasz biskup przywoził nam listy od bliskich; my też mogliśmy mu przekazywać osobiste przesłania. Ale przez te trzy lata seminarium w Nancy, ponieważ moi rodzice mieszkali w odległości 500 kilometrów od stolicy Gwinei, nigdy nie mógł mi przekazać od nich żadnego listu! Czas bez żadnej łączności z najbliższymi bardzo mi się dłużył.

Podczas wakacji pracowaliśmy w gospodarstwach lub w warsztatach, żeby zarobić trochę pieniędzy na pokrywanie osobistych potrzeb. Pracowałem więc w gospodarstwie rolnym nieopodal Nancy, ale także w Longwy. Biskup Tchidimbo okazał się nieustępliwy w kwestii gospodarowania zarobionymi przez nas sumami; nie chciał, byśmy zatrzymali sobie nawet jednego centyma z naszych zarobków.

Pewnego razu najstarszy z nas trzech nie uszanował nakazu biskupa i zatrzymał pieniądze, żeby sobie kupić motor! Kiedy biskup Tchidimbo się dowiedział, że nasz kolega wykorzystał letnie oszczędności na ten zakup, wpadł w pamiętną furję, którą trudno mu było okiełznać... Co gorsza, nasz biskup wściekł się na całą grupę, także na tych, którzy przestrzegali jego nakazów, jak ja... Dzisiaj uśmiecham się na to wspomnienie, ale wtedy byłem zupełnie załamany. Nie mieliśmy wiadomości od naszych rodziców, a nasz pasterz, zamiast dodać nam otuchy, ostro prawił nam morały, nie odróżniając winowajców od niewinnych.

Przechodziłem wtedy okres wątpliwości. W głębokim zagubieniu nawet niejasno rozważałem odejście z seminarium. Poszedłem do mojego ojca duchowego, ojca Denisa, żeby mu wyjawić swoje rozczarowanie. A on mi oświadczył: „Posłuchaj mnie uważnie, Robercie. Znałem w Nancy czterech biskupów, każdy miał swoje trudne niekiedy wady i bardzo budujące zalety. Nie będziesz księdzem dla biskupa, ale dla Chrystusa i dla Kościoła. Musisz iść dalej, spokojnie, z całkowitym zaufaniem, z Chrystusem i dla Chrystusa, mimo twojego biskupa albo razem z nim. Oczywiście to on powoła cię do kapłaństwa, ale będziesz księdzem dla Kościoła. Dzisiaj musisz się ułożyć z biskupem Tchidimbo, a jutro będziesz musiał się nauczyć oswajać charakter jego następcy”. Jediną niespodzianką było to, że zrządzeniem tajemniczej woli Bożej owym następcą biskupa Tchidimbo okazałem się ja...

W każdym razie kontynuowałem pobyt w seminarium z radością i entuzjazmem. To prawda, biskup Tchidimbo był człowiekiem wielkiej surowości, głębokiej prawości i nieograniczonych wymagań. Przyjeżdżał do nas, do niższego seminarium w Kindia. Pamiętam, jaki nacisk kładł na zalety duchowe, a przede wszystkim na ludzkie wartości, moralną nieskazitelną i uczciwość. Słyszę, jak grzmi w sali: „Pierwszym powodem wyrzucenia z seminarium jest dwulicowość, drugim – dwulicowość, a trzecim – dwulicowość”. Jego szorstki język trochę nas przerażał, ale chciał on, żeby człowiek powołany do kapłaństwa był prawy i nieskazitelny. Święty Grzegorz Wielki napisał w jednej z homilii: „Biada grzesznikowi, który chodzi dwiema drogami”. Grzesznik chodzi dwiema drogami, kiedy jego postępowanie zaprzecza jego słowom, gdyż wtedy to, do czego dąży, nieuchronnie należy do świata i jego wad.

Biskup Tchidimbo uważał, że uczciwość to niezbędna zaleta, z którą biskup nie może iść na kompromis. Został uformowany w Chevilly-Larue przez duchaczy i należał do walecznego stowarzyszenia ojca Libermanna. Mimo swojej surowości był dla mnie kimś bardzo ważnym; miał wielkoduszne serce, zdolne do czułości i do wielkiej wrażliwości.

N. D.: Czemu Ksiądz Kardynał opuścił Nancy przed ukończeniem programu zajęć z teologii?

KARD. R. S.: Faktycznie, powinienem był ukończyć studia teologiczne w Nancy. Pamiętam zresztą, że kończąc studia filozoficzne, poważnie myślałem o zrobieniu licencjatu

z tej dziedziny, którą bardzo lubiłem. Biskup Tchidimbo poprosił jednak, żebym nie siedział za tym pomysłem.

Posłuszeństwo pomogło mi w dojrzewaniu. Moją uwagę i poryw serca ukierunkowało na Pismo Święte. Zresztą moje pragnienie bycia księdzem bardziej się zharmonizowało z moim nowym dążeniem do studiowania Słowa Bożego. Dzięki zaprzyjaźnionemu niemieckiemu protestantowi, Horstowi Bültzingslōwenowi, stopniowo odkryłem studiowanie Biblii. Horst studiował wówczas egzegezę biblijną na uniwersytecie w Tybindze i często spędzaliśmy razem wakacje u rodziny Mallard, która posiadała letni dom nad morzem, nieopodal Arromanches-les-Bains. Bakcyl studiów biblijnych został mi zaszczeplony, i zażalenie rośnie we mnie aż do końca studiów teologicznych!

Stosunki między Gwineą a Francją, a zwłaszcza relacje między Sékou Touré a generałem de Gaulle'em, tak się jednak skomplikowały, że musiałem opuścić Nancy. Trudności polityczne w moim kraju po raz kolejny zmusiły mnie do nagłej zmiany miejsca studiów; na dwa ostatnie lata nauki w seminarium, od października 1967 do czerwca 1969 roku, wyjechałem więc do Senegalu, do wyższego seminarium w Sébikhotane, niedaleko Dakaru. Nawet tam można było poczuć wiatr rewolucji maja 1968.

Podczas pobytu w Sébikhotane przyjąłem święcenia sub diakonatu. Ceremonia odbyła się w styczniu 1969 roku w katedrze w Dakarze, a przewodniczył jej kardynał Hyacinthe Thiandoum. Święcenia diakonatu otrzymałem w Brin w Senegalu, w diecezji Ziguinchor, w kwietniu 1969 roku; udzielił mi ich biskup Augustin Sagna. Było nas kilkunastu diakonów, szczęśliwych i zdecydowanych kochać Boga. Większość młodych diakonów pochodziła z diecezji Dakaru, Thiès i Ziguinchor. Z Gwinei było nas dwóch, ksiądz Augustin Tonkara i ja. W Sébikhotane panowała bardzo serdeczna i pracowita, afrykańska atmosfera; korzystaliśmy z duchowej bliskości i liturgicznej jakości benedyktyńskiego opactwa Keur Moussa, należącego do kongregacji Solesmes.

W rzeczywistości rok diakonatu był pełen emocji, lęku i wewnętrznego drżenia. Wiedziałem już bliskość święceń kapłańskich i wielką chwilę Mszy prymicyjnej. Być księdzem, być jak Chrystus, wypowiadać te same słowa co On, i jak tu nie drzeć? W tym samym czasie biskup Tchidimbo mnie poinformował, że zaraz po święceniach kapłańskich wyśle mnie do Rzymu, żebym studiował Pismo Święte.

Domyśla się Pan, jaka była moja radość i szczęście, kiedy się o tym dowiedziałem. Nigdy nie mógłbym sobie wyobrazić, że kiedyś będę w Rzymie, przy grobie Piotra, i że zobaczę papieża na własne oczy! Jakże daleko był mały chłopiec z Ourous, który patrzył na księży skupionych na modlitwie w wiejskim kościele... A przecież tak naprawdę nic się we mnie nie zmieniło.

Gwiazda Trzech Króli

Pozostałe rozdziały dostępne w pełnej wersji e-booka.